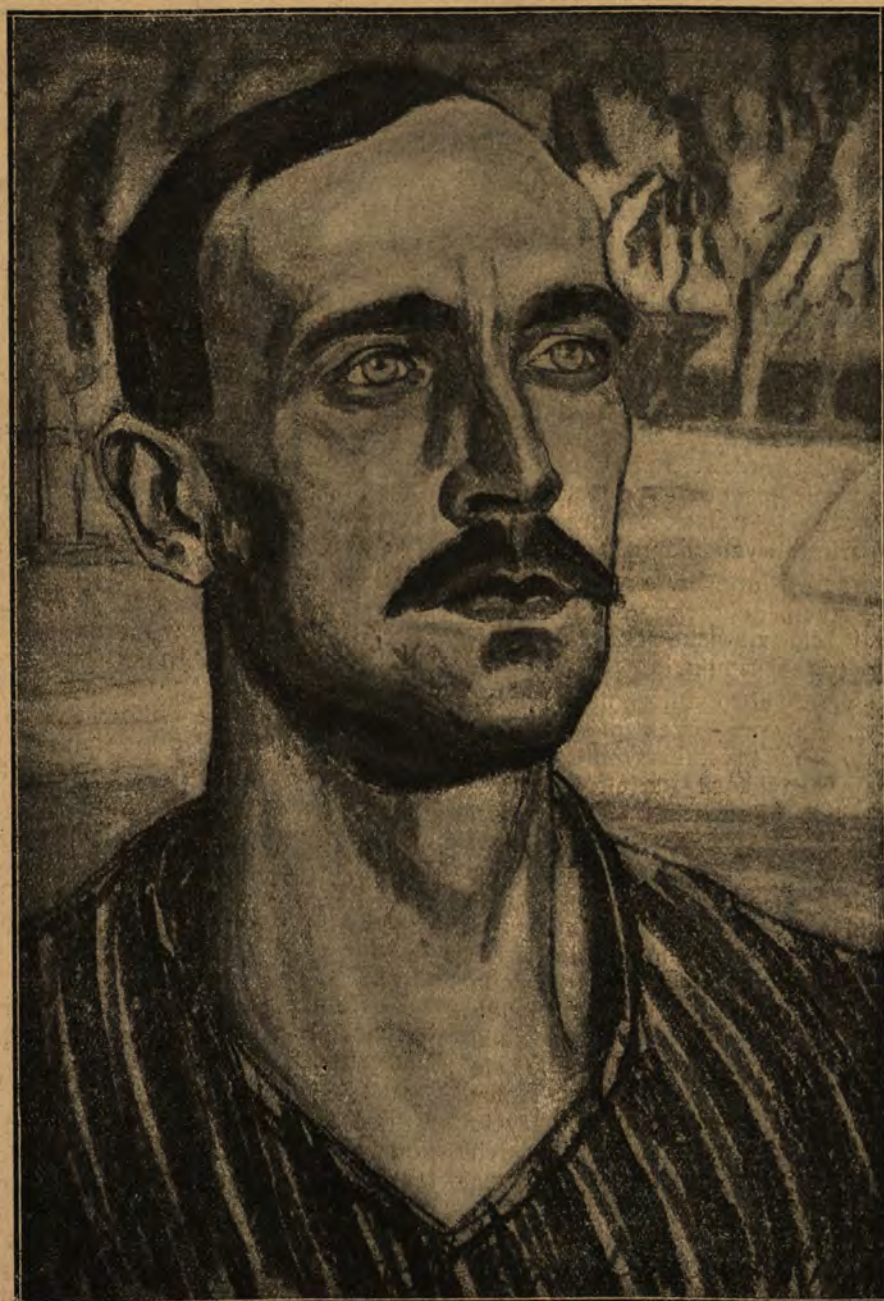


ŚWIATŁO

TYGODNIK ILUSTROWANY LITERACKI, ARTYSTYCZNY,
~ SPOŁECZNO-POLITYCZNY, POPULARNO-NAUKOWY. ~



JAN REMBOWSKI.

ROBOTNIK.

Artysta proletariatu.



rzuca swój czyn na szalę walki, zespala się z nią, w jej nurcie szybkim i żywiołowym znajduje wielkie piękno.

Kiedyś Sichulski, w czasach swej młodości, rzucił nam przed oczy potężną wizję Czerwonego Sztandaru, wznoszonego przez szary, zapracowany, zepchnięty w najgłębsze niziny tłum, ponad trony władców świata. Lenc stworzył swój „Strejk“ jako fragment dzieł wybuchu, rozerwania skorupy „nędznej i plugawej“ przez klasę robotniczą w roku 1905-6; Kamiński dał szereg ilustracyjnych rysunków z tegoż czasu — ujętych w cykl „Duch — Rewolucjonista“. I rzeczy te były jakby epizodem, który przebrzmiał i nie znalazł podtrzymania i rozwinięcia. Jest to zrozumiałe. Sztuka u nas nie jest jeszcze dorobkiem szerokich mas. Spożywają jej owoce przeważnie członkowie klas posiadających, a dla nich uzewnętrznianie walk społecznych w całej ich grozie i znaczeniu musiałyby być potępieniem i pieśnią śmierci — to też sztuki o wyraźnym podkładzie społecznym nie posiadamy. Stosuje się to zarówno do starych jak i do młodych twórców. Śnać wbrew utartemu frazesowi, artysta nie jest obdarzony tak bardzo znów rogatą duszą, można ją ugłaskać i przykuć do tematów miłych i nieszkodliwych dla nikogo.

Obojętnością, a raczej umówionem jakby milczeniem o najistotniejszych, pełnych tragizmu, siły, żywiołowości i wielkiej idei zjawiskach życia współczesnego — wieje od naszej sztuki.

Jan Rembowski przerwał to milczenie. Nie wystarczyła mu rozkosz, dawana przez piękno linii i barw, nie wystarczyło mu krystalizowanie piękna i bogactwa swej duszy w stylizacji kształtów, które mi tak lubuje się z wielką precyzją w większości swych dzieł. Wyszedł on poza siebie. Dusza jego, wchłaniając treść życia, wsłuchując się w szum kipiącej fali zmagających się i walk, budowania i burzenia, wzlotów ideaowych, upadków i zmęczenia — nie zdolną była zamknąć się w umówionem kole wzruszeń i milczeć wobec tego, co porywa miliony, pcha je na drogę walki i śmierci, budzi natchnienie wielkich idei. Oczy jego spostrzegły piękno tej walki o nowe życie, spostrzegły nowego rodzącego się w niej człowieka przyszłości, człowieka pracy. Nowy powiew, płynący od powstałego do wolnego życia proletariatu, budzi natchnienie artysty. W dziełach swoich je wyraża; uplastyczniają one treść najgłębszą współczesnego życia, przed oczy społeczeństwa rzucają spokojną — jak spokojną jest dusza artysty — pełną powagi i skupienia ideę klasy robotniczej.

Rembowski staje się artystą proletariatu.

Ostatnia wystawa malarska w Zachęcie warszawskiej, gdzie kilka obrazów Rembowskiego zna-

lazło się w otoczeniu mnóstwa zresztą wartościowych i pięknych dzieł innych artystów, bardzo jasno — powiedziałyby nawet — jaskrawo, podkreśliła tę odrębną cechę twórczości Rembowskiego. Zarówno temat, jak i idea dzieł tego artysty, były czemś nowym, zupełnie nieznanym na naszych wystawach. Wśród jasnych, rozgrzanych słońcem pejzaży, wśród barwnych fantazji, wśród obrazów poprawnych, pięknych, ale posiadających zabójczą cechę — wielkiej ich ilości — kilka obrazów Rembowskiego cichych w kolorycie, łagodnych, ale w pomyśle, w idei i w wykonaniu silnych i męskich, uderzało wprost widza odrębnością światła duchowego artysty i myślą, którą artysta, niezależnie od tematu poszczególnego obrazu, uczynił przewodniczką swej twórczości. Myśl ta — to najważniejszy czynnik dzisiejszej twórczości Rembowskiego — to jasna świadomość rozgrywającego się przed naszymi oczyma i przy naszym udziale dramatu życia, to świadomość współczesnego człowieka, który, będąc artystą, nie zużywa swego talentu na mówienie o rzeczach obojętnych, lecz sięga po zrozumienie i odzwierciedlenie w swej sztuce najgłębszych zjawisk życia.

Boć zaprawdę, dość już tych kwiatów i pejzażów. Czogoś więcej czekamy od artystów. Chcemy wielkiego, artystycznego wyrazu życia, życia w całej jego krasie i całej potędze walki, która jest jego treścią.

Nietylko bowiem odpoczynkiem jest sztuka, ale również wielką mistrzynią i przewodniczką człowieka. Ona ma krystalizować idee.

Mówił Brzozowski o sztuce, jako o krainie bezwzględnej swobody. Niechże więc stworzy ona dzieła takie, których w życiu człowiek dziś jeszcze stworzyć nie może, gdyż zbyt silne są przeszkody, tamujące drogę w przyszłość. Niechże więc sztuka odsłoni kartę przyszłości. Niechże stworzy jej symbol, niechże stworzy symbol walk współczesnych. Aby dać tę treść, musi sztuka wchłonąć w siebie pieśń życia, pełnego trudu, bohaterstwa, poświęceń, nie zaś karmić się tylko lotnemi zapachami kwiatnych łąk, sadów i odpoczynku. Musi zapach potu i krwi dotrzeć do pracowni artystów.

Człowiek, godny tego miana, walczy o swoje ideały. Zespala się z innymi ludźmi pod wspólnym sztandarem; jednoczy we wspólnym wysiłku złamanie sił przeciwnych. Walkę swą, idee, ożywiającą go i wznoszącą ponad poziom powszedniości, chce przeto widzieć w sztuce i ma prawo wymagać tego od sztuki.

Rembowski jest artystą, który dzisiaj w Polsce tej nowej co do treści i idei sztuce daje wyraz. Bezsprzecznie, nie pełny jeszcze.

Lecz oto mamy przed sobą dzieła, które budzą w nas nietylko zadowolenie artystyczne, nietylko podziw dla artysty, umiającego kunsztownie władać techniką, ale uderzają one w struny naszej duszy, nie pobudzane jeszcze przez sztukę, krystalizują ideę społeczną, poruszającą milionowe rzesze ludzi pracy, ideę, która w powszednim życiu, w codziennych troskach szarzeje, zatracą swój blask, a tu w dziele artystycznym tryska całym pięknem i świeżością swej istotnej treści.

Oto obraz, zatytułowany „Robotnik”. Twarz surowa, męska, stanowcza. Oczy, zapatrzone przed siebie, błyszczą niezłomną wolą i siłą. Bije z nich potęga jasnej myśli. Wypatrują złotych promieni mającego wzejść słońca. Tęsknią doń. A tęsknota to człowieka pracy, który nie zna innych cudów, prócz cudów trudu. On wie, że przyspieszyć można przyszłość tylko przez pracę i walkę, które rozpędzą natłoczone na horyzoncie, zaćmiewające światło, chmury.

To robotnik, jako idea. Takim widzi go artysta. Takim jest on dla każdego, kto zespolił swe życie, swój czyn z walczącym o swe wyzwolenie proletariatem, a widząc braki rzeczywistości, uzbroidł się w ideję człowieka pracy. To nie fragment, to nie jakiś skrawek z życia tłumu. To sztandar, treść siły duchowej mas robotniczych, to upostaciowanie idei, wstrząsającej dzisiejszym społeczeństwem.

Dalej „Rybak”. Taż sama ideja, ale jakby w swem odwróceniu.

Przygnieciony trudem życia starzec-rybak, zarzucił wędkę w modre tonie. Otoczyła go majestatyczna cisza nocy. Wsłuchał się w nią. Pochylił się jakby pod ciężarem jej czaru. Gdzieś w oddali wre

życie ludzkie, buchają snopy światła, huczy, turkocze wielki młyn pracy; ktoś tam wysiła się, upada w znużeniu, ktoś śmieje się i raduje, gdzieś dopełnia się szczęście, piękno, niedola i zbrodnia.

Rybak pozostał sam na sam z ciszą nocy.

„Robotnik” i „Rybak” pod wielu względami są przeciwstawieniem siebie i dopełnieniem zarazem. Tu stoi człowiek ważący się na czyn, młody, za nic mający przeszkody, pragnący walki, pewny swej siły i zwycięstwa, a Rybak, zgięty przez życie i ciężki jego trud, rozkoszuje się ciszą, spokojem nocy, która koi rany zawodów i upokorzeń. To jakby symbol odpoczynku starości człowieka, którego życie wypełniła praca.

Nie sposób jest w artykuliku takim wyczerpać bogactwo twórczości Rembowskiego. Nie silę się nawet dokonać tego dzieła. Chodziło mi tylko o podkreślenie nowych wartości, zawartych w dziełach Rembowskiego, które czynią go najbardziej współczesnym malarzem polskim i wielkim artystą ludzi pracy.

Z. Zarem'ba.



JAN REMBOWSKI.

POCHÓD.

WYSPA ZAPOMNIENIA.

12)

O straszliwa, okrutna wolność!

Gdy po roku zamknięcia, z samotnej celi wychodził z powrotem na świat boży, szeroko rozwarzył ku nowemu życiu młode ramiona i serce kochające.

Chciał się dzielić ze światem swoim męstwem i hartem i wiedzą nową, zdobytą w samotnych dumaniach całego roku.

Chciał opowiedzieć o mękach, które mu zadawano i o próbach, które przeszedł zwycięsko. O samotnych wizjach i natchnieniach, o pięknych widziadłach, które go nawiedzały w długie bezsenne noce. O ogromnych podróżach, które odbywał, chodząc od kąta do kąta swojej celi, zwiedzając cały świat. O przeczytanych dziełach, o niezliczonych swoich wielkich planach, których starczyłoby na długie życie.

Spieszył się, stęskniony, do ludzi bliskich. Czemu mu się tak spieszyło? Czemu nie zaczekał bodaj dnia jednego i nie nacieszył się złudzeniem szczęścia, nie odetchnął słodkim powietrzem wolności?

Kamiennymi, niewidzącymi spojrzeniami odtrącał go ludzie. Obijał się o mur tych spojrzeń i ciasno mu się zrobiło na wolnym świecie. O jakżeby uciekł do swojej samotnej celi!

Był na grobie rodziców dawno pomarłych i skarżył się w cieniu drzew cmentarza, w smutku jesienno-południa. Klął się w obliczu miasta umarłych, że jest niewinny i nieszczęsny.

Wreszcie odszedł i cieszył się, iż nie żyją ojciec i matka, że nie dożyli hańby. Cieszył się, że nie potrzebował stanąć pod karzącym spojrzeniem ich ukochanych oczu. To była jego pociecha.

Twardo, bez miłosierdzia karze naród zdrajce swoje za grzech przeciwko ojczyźnie. I on by to samo czynił z innymi, gdyby widział w nich winę.

Przenikał rozumem pawskroś sprawę własną i uderzał, jak głową o mur, nieprzełamane, straszliwe pozory. Świat nie ma obowiązku i nie ma możliwości poznawania nagiej prawdy. Godził się z tym. Nie mógł się pogodzić ze swoją hańbą.

Postanowił uciec od ludzi, porzucić okropny kraj rodzinny. Odetchnąć powietrzem, w którym nie będzie dla niego pogardy, gdzie nikt go nie zna i nie odtrąci kamiennym spojrzeniem. Był młody

Nie wiedział, co znaczy oderwać się od ojczyzny, nie zakosztował jeszcze duszącego pustkowiecia pięknych obcych krajów. Nie mogąc znieść bólu swojej krzywdy, uciekał w daleki świat, gonił za złudzeniem jakowejś nadziei.

Uchodząc na zawsze, nie patrzył w okno wagonu na pola, wieś, lasy, które przebiegały i ginęły, żegnając go smutkiem jesiennych mgieł. Mknęły wstecz kościółki wiejskie, otoczone żółtymi lipami, pochylone krzyże przydrożne, chaty nędzne, drogi, zasnutę lśnieniem błotem, wiatraki, obracające się ciężko i leniwie, stare, pogarbione wierzby, rozmokłe łąki, ugory, pustkowiecia...

Nie miał dla nich na pożegnanie ani jednej łzy. Skończył ze wszystkim, co tu pozostawało. Rozerwał związki. Zabił wspomnienia wszystkiego. Zapamiętał jeno ostatnie swoje spotkanie z najukochańszym niegdyś człowiekiem, od którego nie mógł odjechać bez jednego słowa.

Gdy mu oznajmił, że chce na zawsze opuścić kraj i pytał jeszcze o radę, słuchał go przyjaciół w uporczywym, gnębiącym milczeniu. Wreszcie podniósł się, wy dobył skądś broń i dając mu ją w ręce, wyrzekł słowa, w których drgała jeno reszta serca.

— Strzel sobie w łeb...

VII.

W świat szeroki, nieznan! Zapędził się daleko i gnał wciąż dalej, za góry, za morza. Przystawał byle gdzie na czas niedługi i rozglądał się i pytał, czyby już nie pozostać tam. Czyby już tam nie zacząć żyć?

Płoszyło go słowo w rodzimym języku, usłyszane na ulicy, twarz spotkana, przypominająca kraj ojczysty. Dalej! Głębiej w nieogarnione morze świata!

Przybrał sobie nową narodowość; wymyślił sobie imię. Uwierzyli we wszystko ludzie, bo ich nic nie obchodziło. A i on wysilał się, żeby uwierzyć.

Nie dokazał tego, ale na początku miło mu było chodzić pomiędzy ludźmi, którzy nic o nim nie wiedzieli. Przekonał się, że można wyżyć w cudzej skórze. Można przywyknąć do udawania. Było dalej, było dłużej przetrzymać — po czasie sam zapomni. Za parę lat nie będzie nawet wiedział, jak tam kiedyś bywało.

Parę lat — niemały to czas. Minęło parę lat i wyczerpały się wszystkie sposoby ratunku. Co dalej?

Z potwornych miast nowego świata uciekał do pustych stepów i dzikich puszczy. Tułał się i nigdzie nie mógł wysiedzieć. Męczyli go nędzni ludzie, męczyła go przeczysta natura. Nie było snuć dla niego miejsca na świecie. Wreszcie rozumiał, że nosi ze sobą utrapienie i przenosi je wszędzie, gdzie stąpi.

Zabrał się do siebie na ostro. Wziął się, jak w kleszcze. Podjął się pracy ciężkiej, zabijającej. Zabijał w sobie pamięć, żal, krzywdę. Od rana do nocy chodził w jarzmie przymusu, stał się bezmyślną maszyną. Wytrzymywał, wykuł w sobie ślepa wolę i żył, jak ślepy. A gdy wieczorem upadał z wyczer-

pania, zanim usnął jak martwy, myślał sobie — oto szczęście!

Po roku tyle skorzystał, że dorobił się dużo dolarów. Świat płaci za uczciwą pracę.

Oprzytomniał, pomyślał i cisnął precz robotę. Zbył za byle co świetny „business”. Ludzie go obwołali za warjata, a on odzyskał swobodę i wolny czas do dreczenia się myślami.

Bolało go myślenie, bo odwykł od wolnej chwili. Pewnego dnia spotkał wesołego człeka, który, idąc ulicą śpiewał głośno i śmiał się. Zapytał go, co trzeba czynić, żeby nie myśleć?

— Pij, bracie, mocne whisky. A jak na to masz, pij lepiej wino!

Tedy zaczął pić whisky, pił i wino. Odsłoniła się przed nim tajemnica butelki. Jakże proste i łatwe jest szczęście.

Pełno miał teraz przyjaciół, po szynkach, po barach — najmiłsi, serdeczni ludzie! Jednemu z nich opowiedział przy szklance całe swoje dzieje, bo już zanadto był pijany.

— Schowaj się ze swoją głupią historją. Ja ci opowiem moją!

Słuchał, wsparłszy na stole pijaną głowę i przyznał, że głupcem był i młokosem przy tamtym pijanicy. Zawstydził się swojej naiwności i głupoty — było też czym się trapić? Rozwinąć jakąś straszną opowieść przybędę ze świata!

— Przyjacielu! Tyś mnie dopiero oświecił i nauczył!

— Tak jest! Nigdy nie bądź trzeźwy. Żyj jak ja, który od pięciu lat jestem pijany. Wódki nie zabraknie. Starczy butelek na wszystkie zmartwienia świata! Pijmy!

— I'ijmy, bracie!

Ale odtąd noga jego nie postąpiła w szynku.

Pomyślał o Bogu. Nareszcie, po raz pierwszy. O Tym, który zna prawdę każdego człowieka. Przypomniał sobie głęboką mądrość religii: ukorzenie się wobec tajemnicy i pogardę dla świata.

Z ulgą wierzył, że istnieje Ktoś, który widzi jego sumienie i bezmiar jego krzywdy. Mniejsza o odpłatę i o nagrodę na jakimś tamtym świecie.

W osobliwych swoich modlitwach dziękował Bogu za łaskę nawrócenia i pytał go, czemu dopuścił do jego krzywdy? Korzył się w obliczu tajemnicy, wyrzekał się świata i pytał, co ma robić dalej między ludźmi. Jak żyć? Po co?

— Czyni dobrze. Żyj bogobojnie. I dźwigaj swój krzyż, jako czynił Zbawiciel świata.

Było to jasne, jak nowy wyrok. Na całe życie i bez żadnej nadziei.

Gdybyż ten wyrok usłyszał w starym kraju, na ziemi posępnej, znękanej. Czemuż nie zdarzyła się owa chwila w półmroku gotyckiego sklepienia, wśród szeptów i westchnień, w upojeniu i szaleństwie ekstazy, która zabija w człowieku wolę i myśl rozumną?

Ani grozy świątyni bożej, zbudowanej ku spętaniu dusz, ani rozmodlonego tłumu, ani kadzidła...

Za oceanem Bóg mieszka w widnych halach z betonu, żelaza i szkła. A mówią w Jego Imieniu dżentelmeni rozsądni i praktyczni. Tam już oddawna wytepieno moc wiary ślepa i cudowna.

A wokoło świat nowy, bujny, nieposkromiony, walczący o zdobycz życia. Tam nikt z dobrej woli

nie dźwiga krzyża, a ciska go precz i walczy o swoje, rozumem i pięścią.

Rychło pożegnał się z Bogiem miłosiernym i sprawiedliwym.

Zżerała go tęsknota za ojczyzną. Trzeba mu było tamtejszego powietrza, smętnej, szarej ziemi, dźwięku mowy rodzinnej. Więc co noc śniły mu się strony znajome i czasy szczęśliwego dzieciństwa.

Przychodziły widziadła przyjaciół. Czuł wokoło siebie otwarte bratnie serca. Rosły mu w duszy wielkie zamiary, a wokoło widział tysiące ramion, gotowych dopomóc mu w szczytnych walkach o prawdę. Wiedział, że w jego pokoleniu przez wielkie czyny bohaterskie zakończy się wiekowa niedola ojczyzny. Był szczęśliwy. Budził się, jak potężny pieniec.

Ażeby był jeszcze szczęśliwszy, przyszła wreszcie i ona, młodzieńcza, rozkochana, i kładła mu na piersi jasną głowę, patrzyła wniebowziętymi, jasnymi oczami. Obudził się i na niej się mścił najpierwszej. Musiał ją w sobie zabić.

Przypomniał sobie, że jest mężczyzną i poszedł między kobiety. Brał jedną po drugiej i ciskał. Napotkawszy czując miłość prawdziwą, znieważał ją, deptał i szedł dalej, drwiąc rozkosznie.

Zhańbił pamięć tamtej, pierwszej i jedynej i sponiewierał siebie. Pograżył się w odmętach i tajemnicach chuci. Przed niczym się nie cofnął, wszystkiego spróbował. I chwalił sobie rozpustę, jedyny nektar zapomnienia, pewniejszy, niż najteższa wódka.

I znowu nie wiedział, co robić dalej. Obmierzył sam siebie. Bolało go obrzydzenie do każdej swojej myśli, bo każda była po sto razy zużyta, a wszystkie szły wydeptanym, zapługawionym torem wciąż dookoła i dookoła. Zabijała go bezecna nuda.

Jak przez kraty więzienia, widział obrazy świata i bujne życie. Był spragniony i głodny pełnego, nieprzebranego istnienia. Uwielbiał szaleństwo życia, jego głębię i obszar, ciekawy był wszystkich jego tajemnic. Wszędzie, gdzie nim ciskał los obłąkany, spotykał odmet zjawisk, spiętrzone i powikłane dzieje, w których wolni ludzie odprawiali święte i straszne misterjum, przeznaczone im na świecie: żyli.

On jeden włóczył się między żyjącymi, jak cień. Chwilami wydawało mu się, że dawno zmarł i zeszedł ze świata, zamordowany przez niedolę swego losu. Leży w dole jego trup i rozkłada się obrzydliwie. A dusza — owo tajemnicze światło w człowieku, którego nie gasi nawet śmierć, błąka się i objija się wśród żyjących bez celu i bez woli, wszystko widząca i ku wszystkiemu stęskniona, a zmarła i znędzna.

I ciągnie się to latami — czyż nazawsze ma tak być? Czy nie zakończy nareszcie nędznej, niedanej komedji?

Łatwo się zabić. Dość jednej chwili, żeby rozsadzić na drzazgi tę udreconą głowę. Jeden strzał i... nicność, mrok, spokój...

Oddawna rozmyślał nad tym. Od chwili ucieczki z kraju ojczystego miał zawsze w pogotowiu broń, którą otrzymał w darze od przyjaciela. Codzien

szęptały mu znajome słowa pożegnania: „strzel sobie w łeb“.

W ciągu lat roztrząsał sprawę swojej śmierci. Była ona zawsze obecną jego rozpaczliwym próbom zaczepienia się o życie. Na początku oburzała go niesprawiedliwość wyroku zagłady: — za co?

A potem żal było młodego, zaledwie napoczętego życia. Nad gnębiącą troską górował jednak urok świata.

Nie jedno, a dwa ludzkie istnienia pochłonałby nienasycony. Gromadziłby w duszy odmet wydarzeń i doświadczeń, wpaśby się w samą gęstwę, puszczy życia i nurzałby się w niej z rozkoszą. Jego młodzieńcza ciekawość wszczepiała się we wszystko. Wszędzie dziwy, zagadki.

Miałby więc wyrzec się cudów świata? Zrzec się świętego prawa i dobrowolnie dać się zasypać w ohydny grobie?

Nie. Lepiej żyć z pamięcią hańby i krzywdy, niż nie istnieć. Żyć. Na złość ludziom, którzy go pograżyli na samo dno nędzy. Wydobędzie się, wypłynie.

A. Strug.

(Ciąg dalszy nastąpi).

CÓRKA ZORZY.

JACK LONDON.

— „Wy — wy — leniuch i niezdara, chcielibyście mnie za żonę?! To na nic. Nigdy, ale to nigdy, niedołęga nie nazwie mnie swoją żoną!“

Tak mówiła Joy Molineau do Jacka Harringtona. Poprzedniego dnia mówiła to samo, tylko po francusku biednemu Louis Savoy.

— „Proszę mnie wysłuchać, Joy!“

— „Nie! Nie mam już nic do słuchania. Bardzo źle. Ciągłe przesiadujecie u mnie, zamiast pracować. Ciekawam, jak utrzymywalibyście rodzinę? Złota nie macie wcale, a drudzy zdążyli już się wzbogacić.“

— „To doprawdy niesprawiedliwie, Joy. Ja również nie mało pracuję. Dnia niema, żebym nie kopał to tu, to tam. Przecie dopiero niedawno wróciłem z podróży i psy moje jeszcze nie odpoczęły. Pracuję nie mniej od innych, ale ot, nie mam jakoś szczęścia. Innym się powodzi, dokopują się złota, tylko mnie licha jakieś urzekło.“

— „Ach, nie o to idzie! Przypomnijcie sobie tego człowieka...no, jakże mu tam? tego, tego Mac Cormacka, który wraz z żoną powędrował do Klondike i znalazł tyle złota... Dlaczegoście się nie ruszyli razem z innymi? Inni poszli i są już bogaci.“

— „Jakto, czyż nie wiecie, że wtedy właśnie pracowałem nad Tananą i nie miałem pojęcia o żadnym Eldorado ani o Bonanzie? A potem już było zapóźno.“

„Ech, to tylko wymówka. Wogóle lubicie się wykręcać.“

— „Co takiego?“

— „Powiadam, że lubicie się wykręcać. Ot, naprzykład i teraz. Taki doskonały kawałek jest na Eldorado. Zjawił się tam jakiś człowiek, ponabijał kółków granicznych i poszedł. Nikt nie wie, co się z nim stało. W przeciągu 60 dni może jednak upominać się o swoje prawa. Potem zaś popędzi tam cała zgraja, żeby zdobyć parcelę i dokument. Polecą wszyscy, jak wicher. A kto zdąży — będzie bogaty. I jego rodzina również...“

Jack Harrington ukrył swe nagłe zainteresowanie i spytał obojętnie:

— „Kiedyż termin?”

— „Mówiłam o tem właśnie z Lous Savoy”, ciągnęła Joy, nie zwracając najmniejszej uwagi na pytanie. „I przypuszczam, że nie pokpi sprawy”.

— „Tam do licha!”

— „Tak, Louis Savoy przyszedł i zapytał mnie: Joy, ja jestem silny i wytrzymały, a moje psy ciągną dobrze. Spróbuj. A jeśli wygram — pójdziecie za mnie? Odpowiedziałam mu...”

— „Cóż?”

— „Odpowiedziałam mu: Jeśli Louis Savoy zwycięży, niewątpliwie zostanę jego żoną”.

— „Jeśli zaś nie wygra?”

— „Hm, jeśli nie wygra — jakby to powiedzieć — nie będzie ojcem moich dzieci”.

— „A jeśli — ja wygram!”

— „Wy! Ha, ha, ha, nie wygracie nigdy w życiu!”
Roześmiała się. Śmiech ten drażnił i palił Jacka, musiał jednak przyznać, że nawet zły śmiech jej czarownie pieści słuch.

Jack Harrington nie był wyjątkiem i oddawna przywykł już do takiego traktowania ze strony Joy. Tak samo dręczyła wszystkich swoich wielbicieli. Ale była prześliczna. Jak kwiat różowy, rozchylały się jej wargi, ostre pocałowania mrozu cudownie rumieniły jej policzki, a oczy paliły się nie zrównanym, uroczym ogniem. Wokół niej, ciasnym, puszystym pierścieniem wiły się psy, a przodownik zaprzęgu, Wilczy Kiel, podszedł najbliżej i położył pysk na kolana swej pani.

— „A jeśli ja wygram?” uparcie powtórzył Harrington.

Joy Molineau przeniosła spojrzenie z psa na człowieka i z powrotem.

— „Cóż powiesz na to, piesku? Jeśli Jack Harrington będzie silnym i zwycięży — pójdziemy za niego zamaż? Jakież jest zdanie Wilczego Kłosa?”

Pies nasrożył się i zaszczekał.

— „Ależ zimno!” Rzuciła nagle Joy z iście kobiecą zmiennością.

Wstała i poczęła poprawiać uprząż. Jack Harrington nie ruszył się i bezmyślnie utkwiał w niej oczy. Od początku ich znajomości czuł, że zachowuje się głupio w obecności dziewczyny. Zato niewątpliwie stawał się coraz cierpliwszym.

— „Hej, Wilczy Kiel, naprzód!” krzyknęła Joy Molineauj wskakując na saneczki. Psy ruszyły i pomknęły w kierunku Forty Mile.

Harrington, nie ruszając się z miejsca, choć z ukosa przyglądał się dziewczynie. Tam, gdzie droga rozdawała się i biegła na Forty Cudahy, Joy Molineau na chwilę zatrzymała się i odwróciła swą głowę.

— „Hej! Niedolego! Wilczy Kiel zgadza się, jeśli wygrasz...”

W kilka dni później całe Forty Mile wiedziało o zapasach, mających się odbywać pomiędzy Louis Savoy a Jack'em Harringtonem. Stawiano zakłady, zgadywano namiętnie, kto zwycięży i na kogo padnie wybór Joy Molineau.

Całe miasteczko podzieliło się jakgdyby na dwa obozy, a każdy trzymał stronę swego wybrańca. Rozpoczęły się walki o lepsze psy, które miały przecie zdecydować o wygranej swych panów. Współzawodnicy ubiegać się musieli nie tylko o rękę wy-

branej kobiety, ale i o posiadanie kopalni, ocenianej na milion dolarów.

Jak tylko rozeszła się pogłoska o znalezionych przez Mac Cormack'a pokładach złota, cała okolica ruszyła natychmiast w górę Yukonu. Nieliczne wyjątki, do których należeli właśnie Louis Savoy i Jack Harrington pracowały wtedy na zachodzie.

Jelenie pastwiska i małe strumyki rozchwytywano beładnie i przypadkowo. W równie przypadkowy sposób zdobyte zostały najbogatsze pokłady złote — Eldorado.

Olaf Nelson odmierzył sobie 500 stóp, postawił odpowiednie znaki, ponabijał kołków — i znikł.

Najbliższe biuro meldunkowe znajdowało się wtedy w Forty Cudahy, leżącym naprzeciwko Forty Mile, po drugiej stronie rzeki. Wraz z pojawieniem się legend o Eldorado, stało się ogólnie wiadomem, że Olaf Nelson, wziął kawał ziemi nad dolnym Yukonem. Właściciela na miejscu nie było i nikt nie wiedział dokładnie, gdzie się znajduje.

Oto dlaczego poszukiwacze złota z nieskrywaną chciwością spoglądali na złotonośny kawałek, należący do zaginionego bez wieści szczęśliwca. Ale 60-cio dniowy termin nie minął jeszcze i nikt nie miał prawa sięgnąć po własność Olafa Nelsona. Cała okolica wiedziała o tajemniczym jego zniknięciu, a kilkudziesięciu silnych ludzi robiło już przygotowania, żeby w dzień terminu porwać się z miejsca i pomknąć w kierunku Forty Cudahy.

Wogóle jednak mieszkańcy Forty Mile zachowywali się spokojnie. Miasteczko natężyło całą swą energję, żeby zaopatrzyć Louis Savoy i Jacka Harrington'a we wszystko potrzebne. Od parceli do biura meldunkowego było 100 mil, więc wszyscy stwierdzili zgodnie, że zapaśnicy powinni 4 razy zmienić psy po drodze. Decydujące znaczenie posiadała, ma się rozumieć, ostatnia zmiana, to też obaj wszelkimi środkami starali się o zapewnienie sobie najteższego zaprzęgu na ostatnie 25 mil. Dzięki temu ceny na psy wzrosły niebywale.

Ma się rozumieć, iż wszystkie oczy zwrócone były na Joy Molineau. Nietylko dlatego, że ona była prawie wyłączną przyczyną całej tej historii, ale i z tego powodu, że posiadała najlepsze psy zaprzęgowe na przestrzeni od Chilcoot aż do morza Beringa. Wilczy Kiel, jako przodownik zaprzęgu, nie miał sobie równego i niewątpliwie posiadanie tego psa przeważałoby każdą szalę. Ma się rozumieć, zamęczano Joy prośbami, ona jednak pozostała niewzruszona i nie chciała zostawać się z ulubionem zwierzęciem. Współzawodnikom pozostawała więc ta tylko pociecha, że jego rywal nie dostanie psa również.

Mężczyzna wogóle stworzony jest tak, że w żaden sposób nie potrafi przeniknąć tajemnic dziwnej duszy kobiecej. Dotyczy to mężczyzn, żyjących zarówno bujnym, zdobywczym, jak i cichym, domowym życiem. Tak też było i z mężczyznami z Forty-Mile. Byli zbyt prości, żeby poznać tajemne, podstępne plany Joy Molineau. Przynawali się zresztą, że nigdy nie zgłębiłi do dna zagadkowej natury tej kobiety, co wyrosła pod światłem Zorzy północnej. Ojciec jej prowadził wielki handel futrami, jeszcze zanim obecni mieszkańcy Forty-Mile wybrali się na Północ. Rozumie się jednak, że nie miało to najmniejszego wpływu na Joy i nie pozbawiło jej ani jednej wyłącznie kobiecej cechy. Mężczyźni zdawa-

li sobie sprawę po trochu, że dziewczyna bawi się nimi, ale znaczenie i głębokość gry pozostały dla nich tajemnicą. Widzieli tylko część otwartych kart, lecz główny swój atut Jou Molineau schowała na sam koniec. To też mężczyźni do ostatniej chwili pozostawali w stanie miłego otumanienia.

Minął tydzień i przez ten czas większość mieszkańców zdążyła przenieść się na to miejsce, skąd wyruszyć mieli między innymi Jack Harrington i Louis Savoy. Wszyscy najskrupulatniej liczyli czas, gdyż zamierzali przybyć na miejsce kilka dni przed terminem, ażeby dać wypoczynek psom i sobie. Po drodze spotykali wielu mieszkańców Dawson, dążących do tegoż celu — do pokładu Olafa Nelsona. Po upływie dwóch dni od czasu wyjazdu zapasników, Forty Mile poczęło posyłać psy na umówione miejsce. Pierwszy zaprzęg na 75 mil, drugi na 50, trzeci na 25. Ostatni dobrany był tak znakomicie, że prawie cała osada spędziła kilka godzin na 50 cio stopniowym *) mrozie, podziwiając zalety zwierząt. W ostatniej chwili na miejsce zebrania przybyła na swoich psach Joy Molineau. Podeszła spokojnie do Lon Mack Fan'a, pilnującego zaprzęgu Harringtona, wtedy ten niespodzianie przeciął uprzęż Wilczego Kłosa i zanim zdolała się spostrzedz, uwiązał go, jako przodownika, do zaprzęgu Harringtona. Potem, nie zwlekając ani sekundy, pomknął w kierunku Yukonu.

— „Biedaczysko Savoy!” rozległo się na wszystkie strony.

Joy Molineau nie odpowiedziała ani słowa, tylko wyzywająco błysnęła oczyma i poszła do domu.

Północ. Koło parceli Olafa Nelsona zebrali się z górą stu ludzi, owiniętych w futra. Woleli oni 60-cio stopniowy mróz nad ciepłą izbę i wygodne postanie. Niektórzy zaczęli już prace przygotowawcze. Mały oddział konnych żandarmów utrzymywał porządek i spokój i uważał, żeby wyścig odbył się według norm, przepisanych prawem.

Zabroniono wbijania kółków granicznych aż do ostatniej sekundy ostatniego, sześćdziesiątego dnia. Na dalekiej Północy rozkazy posiadają niezwykłą, nadprzyrodzoną wprost, władzę. Nieposłusznych bowiem powali kula, nagła, jak piorun. Noc była mroźna i jasna. Zorza północna rozsypała po niebie drżące migotliwe barwy. Jakaś potężna dłoń Tytana dźwignęła ponad ziemię nieskończone łuki; od horyzontu do zenitu różowawe, zimne, jaskrawo rozlewne fale światła, a ku gwiazdom ciągnęły szerokie, srebrno-zielone smugi.

Żołnierz królowej, owinięty w niedźwiedzie futro, wystąpił naprzód i podniósł rękę. Zawrzało natychmiast. Poszukiwacze złota podnosili swe psy, rozplątywali im postronki i zaprzęgali do sani. Potem wszyscy, jeden za drugim, z przepisowemi kółkami w ręku poczęli podchodzić ku oznaczonemu miejscu. Tak dobrze znali ten kawałek ziemi, że mogliby powbić kółki z zamkniętymi oczyma. Na drugi sygnał zdjęli całą zbyteczną, ciężką im odzież i natężyli uwagę.

— „Bacność! —

Sześćdziesiąt par rąk zciągnęło rękawice i sześćdziesiąt par nóg zaryło się krzepko w skrzypiący śnieg.

— Naprzód! —

Współzawodnicy w mgnieniu oka rozbiegli się na wszystkie strony i z nieopisaną szybkością poczęli wbić kółki i odznaki. Kto skończył, natychmiast wskakiwał na sanki i mknął po zamarzej rzece. Zawrzało na nowo; sanie najeżdżały na sanie, psy rzucały się na sąsiednie zaprzęgi, jeżąc szerść i szczerząc kły.

W powietrzu brzmiał nieprzerwany, ogłuszający hałas. Wszyscy rozumieli, że nadeszła ważna, najważniejsza chwila. Każdy miał przyjaciół, którzy starali się mu dopomóc. Nareszcie z kłębiącego się tłumu wydobywać się poczęły co lepsze zaprzęgi i jeden za drugim znikwały z oczu.

Jack Harrington wiedział już z doświadczenia, co się dzieje w tłumie, to też dotychczas czekał spokojnie koło swych sani. Niedaleko, w równie wyprzedzającej pozycji, stał Louis Savoy, uważnie obserwując swego rywala, jednego z najlepszych poganiaczy na całej Północy. Obaj ruszyli w drogę wtedy tylko, kiedy hałas uciął dostatecznie. Musieli jechać całe 10 mil, żeby dopędzić tych, co wyjechali pierwsi.

Z obu stron drogi ciągnęły się nieskończone, śnieżne pola, i gdyby ktokolwiek zechciał wyminąć przeciwnika, zaryłyby się w śnieg wraz z psami. Dla uniknięcia tej przyjemności, pozostawało tylko leżeć plackiem na podskakujących sankach i czekać cierpliwie.

Również monotonna droga czekała na przestrzeni całych 15-tu mil, od Beranzy i Klondike aż do Dawson.

Tam stała w pogotowiu pierwsza zmiana psów, lecz Harrington i Savoy zmienili je o dwie mile wyżej. Wyzyskali w ten sposób ogólny zamęt i wyprzedzili dobrą połowę sani. Już na szerokim Yukonie mieli przed sobą nie wiele więcej ponad 30 zaprzęgów.

Podniecenie rosło z każdą chwilą.

W miejscu najsilniejszego prądu, niedawno dopiero zamarzała woda i cienka lodowa kora, gładka i wyiskrzona, jak posadzka, ciągnęła się na przestrzeni całej mili pomiędzy dwoma starymi pasami lodu.

Wjehawszy na lód, Harrington ukląkł i przytrzymując jedną ręką sanie, drugą zapalczywie ciął biczem psy. Każdemu uderzeniu towarzyszyły nieopisane przekleństwa. Psy, czując pod nogami mocny, gładki lód, pomknęły z całych sił. Mało który z chwilowych mieszkańców Północy, tak zrecznie kierował zaprzęgiem. Kiedy Louis Savoy spostrzegł, że Jack go wyprzedza, przyspieszył biegu i dążył już tylko do tego, aby pyski jego psów dotykały tyłu sani Harringtona. Jack zdecydował nie tracić ani sekundy, i jak tylko tuż pod jego sanie podano świeży zaprzęg — z ostrym okrzykiem skoczył na nowe i nie przestając ani na chwilę okładać psów biczem — pomknął dalej.

Zupełnie tak samo postąpił Louis Savoy. W tej chwili porzucone przez nich zaprzęgi wpadły pod nogi jadących i zwiększyły jeszcze zamęt i zamieszanie.

Na czele tych, których spotkał ciężki zaszczyt torowania drogi, mknął Jack Harrington; tuż za nim, nie zwalniając biegu, spieszył Louis Savoy.

Mróz tężał tymczasem i doszedł już do 60-ciu stopni. Niemożliwie i niebezpiecznie było pozostawać bez ruchu. Wiedząc o tem, Harrington i Savoy co pewien czas zeskakiwali z sani i z biczami w rę

*) skala Fahrenheita.

ku mknęli za zaprzęgiem, dopóki się nie rozgrzali. Wtedy znowu wskakiwali na sanki.

W ten sposób, na saniach lub biegiem, mknęli drugą i trzecią zmianę. Pozostali współzawodnicy rozciągnęli się poza nimi w luźny szereg na jakie 5 mil. Niejeden jeszcze próbował dopędzić sanie z Forty Mile, ale wysiłki te były daremne. Jeden tylko Louis Savoy mknął tuż za Harringtonem.

Na 25-tej mili od Forty Mile, tuż do sani Harringtona przysunął się Lon Mack Fane. Ujrawszy w zaprzęgu psa Joy Molineau, uwierzył Harrington w ostateczne swe zwycięstwo. Wiedział, że z takim zaprzęgiem ścigać się nieposob. Niema takiego na całej Północy. Louis Savoy spostrzegł również, że tuż stoi Wilczy Kieł i nagle zrozumiał, że przegrał. Wtedy przeklinać zaczął samego siebie i podstępna kobietę, Joy Molineau.

Ale pomimo wszystkiego, nie zaniedbywał sprawy. Tuż przed nim, bryzgając śnieżnym pyłem, jak skrami, mknął Jack Harrington. Savoy zdecydował nie ustąpić i walczyć do końca o swoje szczęście. Zmrok już się przyczekał i na południo-wschodzie świtało. A rywale mknęli i mknęli, nie przestając się dziwić temu, co uczyniła kobieta, Joy Molineau.

Całe Forty Mile wstało o świcie, zrzuciło z siebie ciepłe kołdry i wyległo na drogę, skąd można było wiedzieć Yukon na przestrzeni kilku mil, aż do pierwszego zakrętu. W pewnej odległości od innych stała: Joy Molineau; przestrzeń pomiędzy nią, a lśniącym torem drogi, była zupełnie wolna.

Mieszkańcy Forty Mile rozsiedli się, otoczywszy półkołem płonące ognisko. Odbывały się ostatnie wysokie zakłady, stawiano złoty piasek i psy. Najwięcej zwolenników miał Wilczy Kieł.

— Jada! zapiszczał nagle chłopak-krajowiec, siedzący na wierzchołku sosny.

Na rozłożystej piersi Yukonu, na białej płachcie śniegu ukazała się mała ciemna plama. Za nią druga. W miarę, jak obie rosły, na znacznej odległości zarysowywać się zaczęły inne jeszcze plamy. Po chwili rozpoznać już było można zarys sani i psów, nareszcie zaś ludzi, wyciągniętych plackiem na saniach.

— „Wilczy Kieł idzie pierwszy“, szepnął oficer ze straży, zwracając się do Joy.

— Uśmiechnęła się tylko.

— „Dziesięć przeciw jednemu za Harringtonem!“ krzyknął jeden z miejscowych „złoty król“, wyjmując z kieszeni worek ze złotym piaskiem.

„Tylko tyle?“ rzuciła Joy.

Oficer pokiwał głową.

— „Macie przy sobie trochę złotego piasku?“ zwróciła się doń Joy. Pokazał jej swój worek.

— „Będzie ze dwieście? Dobrze. W takim razie przyjmę zakład“.

Wciąż tylko uśmiechała się zagadkowo. Oficer nie odrywał oszu od jadących i coś rozważał.

Harrington i Savoy klęczeli na saniach i nie- miłosiernie cięli psy. Pierwszym był Harrington

— „Dziesięć przeciw jednemu za Harringtonem!“ krzyknął pò raz drugi bogacz, wyzywająco potrząsając workiem.

— „Przyjmuję zakład“, oświadczyła Joy

Oficer zrezygnował i wzruszył ramionami, jakby chcąc wyrazić, że słucha nie swego rozsądku, ale jej czaru.

Przerwano zakłady i zaległa grobowa niemal cisza.

Jak łódź na morzu, jak łódź pod wiatrem surowym, kołysały się i mknęły sanki. Pomimo to, że jego pies przodownik dotykał pyskiem sani Harringtona, Louis Savoy wyglądał bardzo ponuro.

A Jack Harrington leciał z zaciśniętymi zębami, nie patrząc w żadną stronę. Zaprząg jego biegł miarowo i mocno, wspaniały Wilczy Kieł wyciągnawszy się z całych sił, opuściwszy głowę aż do ziemi, nic nie widząc i tylko czasem pomrukując zcicha—znakomicie prowadził zaprząg.

Wstrzymano oddechy. W niezmiernej ciszy od czasu do czasu zaskrzypiały płozy, lub świsnął bat.

Wtem rozciął powietrze ostry krzyk Joy Molineau.

— „Ai! Ja! Wilczy Kieł! Wilczy Kieł!“

Pies usłyszał głos pani, skreślił natychmiast i rzucił się ku niej, za nim posłusznie ruszył cały zaprząg.

Sanie przez nieskończenie krótką chwilę przechyliły się na bok i Jack Harrington runął w śnieg. Savoy śmignął tuż obok, jak strzała.

Harrington porwał się na równe nogi i jak skamieniały, patrzył, jak jego rywal mknął wzdłuż rzeki w kierunku meldunkowego biura.

I cóż miał począć, słysząc rozmowę:

— „Ach, jakże zrecznie prowadzi zaprząg“...

uśmiechała się do sąsiada Joy Molineau. Tak, tak, niewątpliwie dojedzie pierwszy“...

Tłom. z ang. S. K.



JAN REMBOWSKI.

ORCHIDEJE.

WINKELRYD ŚLĄSKI.

W cieśninie wąskiej, co broni przejścia,
O skały wsparty, z kilofem w ręce,
Z męstwem rozpaczy w boskich żrenicach —
Śląski robotnik stał.

Wróg wali hurmem! zewsząd dopada
Zgraża niemiecka. Cni potomkowie
Rzeszy ra usiów. Wszyscy, co świętą
Tradycję gwałtów, Czarnych Krzysztofów
Na ziemi śląskiej podtrzymać pragną,
Co wyrzucają na bruk sieroty,
Co w jarzmo pracy zakuli ojce,
Co hańbią młode, górnicze córki,
Co niemczą biedne polskie dziecińy,
Co chcą nas z naszej ziemi wypędzić,
Ci fabrykancl, ci miljonerzy
Władcowie zamków, władcowie kopalń,
Zbrojni w pancerze, zbrojni w kolczugi.
Zbrojni w brzeszczoty i zbrojni w dzidy
Natarli hufem w kłębach kurzawy —
Śpiewając: Wacht am Rhein.

Za nimi mnogie knechty, przybłądy,
Wzięte na obrok bohemskie ciury,
Z śliną na czole od pańskich ust,
Dziś zapredane na śmierć i życie:
Inżynierowie, sztygarzy, skryby —
Czeskie lizusy.

Hej! wziąć go żywcem! — wrzasnęli pany,
Ciurów się sypnie gromada,
Pod nogi rzucają mu głazy,
Płach sylą w oczy i usta,
On wznosił swój oskard ku górze,
Choć krew na pierś mu chlusta.

Wspomniał robotnik, czego on broni:
Ze broni polskich lasów tych woni,
Ze broni polskiej fali tych rzek,
Ze broni polskich szmerów tych gór,
Ze broni polskiej mowy tych miast,
Ze broni polskiej pieśni tych siól,
Ze broni szkoły, że broni ziemi —
Ze broni Polski!

Odrzucił kilof, w pierś nabral tchu,
Śmierć mu się w oczach zamarzy,
Oto są tu! Oto ostrza ich dzid
Już sięgają skrwawionej twarzy;
Zbladły, zgarnął rękami rząd dzid,
I zawisł pierśią na pice,
Jak z ust Winkelryda wydarł się krzyk: —
Po moim trupie — „w ulicę!”

Andrzej Chmurny.

*) Z takim okrzykiem bohater szwajcarski, Winkelryd, uitorował drogę do zwycięstwa swoim rodakom w bitwie z Au- strjakami pod Sempach w 1386 r.





JAN REMBOWSKI.

WITRAŻ „POLONJA“.



JAN REMBOWSKI.

DZIEWCZYŃKA Z KAGANKIEM.



JAN REMBOWSKI.

WIOSNA.



JAN REMBOWSKI.

RYBAK.



JAN REMBOWSKI.

NA MARGINESIE CHWILI.

28.

Sejm, nie posiadający większości, która mogłaby się porozumieć, ustalić pewne, wspólne wytyczne, choćby na czas najbliższy, i wyłonić rząd, winien i musi być rozwiązany. Stan bezwładu, trwający miesiące i lata, sprowadza do absurdu samą koncepcję przedstawicielstwa narodowego, parlamentaryzmu, zniechęca do form demokratycznych bytu słabo uświadomione i mało wyrobione masy, a doprowadza do rozkładu całe życie zbiorowe społeczności narodowej, Rzeczypospolitej.

Czynniki reakcyjne świadomie podkopują powagę Sejmu i instytucji demokratycznych. Im zależy na tem tak samo, jak komunistom, gdyż masy, które nie rozumieją znaczenia wychowawczego instytucji demokratycznych, a którym dokuczy krętactwo lub niedołęstwo parlamentarzystów, łatwo dadzą się prowadzić różnym dyktatorom w infulach, czy czapkach frygijskich. I dlatego socjaliści, którzy są bodaj jedynym odłamek społecznym, świadomie dążącym do demokratycznych form bytu, winni usuwać wszelkie ich usterki oraz starać się wprowadzić do konstytucji zastrzeżenia, gwarantujące Sejmowi ciągłość prac, a zmuszające go do rozwiązania się z chwilą, gdy wytworzenie się wyraźnej większości, a więc wyłonienie rządu i praca ustawodawcza stają się niemożliwe.

29.

Reakcyjniści różnych odcieni często wskazują na to, że demokracja, jako ideał, to rzecz piękna i wzniosła, lecz w warunkach współczesnych, gdy masy są ciemne i nie mają poczucia obowiązków obywatelskich, formy demokratyczne stają się fikcją i przetwarzają się albo w ochlokrację, rządy, a właściwie anarchję tłumu, lub też oligarchję demagogiczną, czyli rządy garstki, schlebującej instynktom mas i wiodącej je na pasku. Trzeba przyznać, że w tej krytyce form demokratycznych bytu dużo jest słuszności. Lecz reakcyjniści, wskazując na ujemne strony demokracji w danej fazie-dziejowej, przemilczają świadomie przyczyny takiego, a nie innego stanu rzeczy, nie piszą i nie mówią o tem, że źródło niewyrobenia i braku poczucia obywatelskiego wśród mas płynie z niewoli wiekowej i ciemnoty, świadomie podtrzymywanej przez klasy posiadające. Krytyka demokracji ze strony reakcji prowadzi nie do podniesienia i wychowania mas, lecz do utrzymania ich nadal w mroku ciemnoty i niewoli, gwoli zachowania przywilejów panowania klasowego. Zdawanie sobie sprawy ze stron ujemnych form demokratycznych bytu w czasach obecnych przez socjalistów, prowadzi do wysunięcia na czoło ogromnego, wychowawczego ich znaczenia, jako pociągnięcia mas do stanowienia o samych sobie w celu osiągnięcia możliwie najpełniejszego i nieskrępowanego rozwoju.

30.

Dziś, kiedy ludzkość wstępuje w okres wzmożonej demokratyzacji form życia na wszystkich polach, kiedy masy szerokie zaczynają brać udział bezpośrednio w decydowaniu, jak ma żyć i rozwijać się nie tylko każdy naród, lecz i poszczególne w nim klasy, w nim i jednostki, konieczne jest, aby wraz z roz-

powszechnieniem oświaty szeroki ogół obywateli zaznajamiał się na ławie szkoły powszechnej z podstawowymi pojęciami z dziedziny powstawania i rozwoju form dziejowych bytu narodów. Do tego celu bardzo nadaje się w pierwszym rzędzie literatura Grecji Starożytnej, tego klasycznego wzorn różnych form bytu politycznego.

Historja ustroju wewnętrznego Grecji Starożytnej da każdemu młodocianemu obywatelowi możliwość zapoznania się z temi wszystkimi, któremi operuje się tak często, nie rozumiejąc ich znaczenia, a więc zrozumienia, co to jest demokracja, a co — arystokracja, co — oligarchja, a co — ochlokracja i demagogja, co to jest ojczyzna, co to jest obywatel, co to jest prawo. Historja ta da też możliwość wniknięcia we wszystkie ujemne strony ludowładztwa, w grożące przy niskim poziomie ogółu zatargi pomiędzy większością a mniejszością, pomiędzy pełnoprawną, lecz ciemną masą, a poszczególnymi jednostkami — na tle ujmowania wolności, równości, dobra i zła publicznego.

Spółczeństwo musi wychować swoich obywateli. A historja w tem wychowaniu odgrywa rolę niezmiernie doniosłą, gdyż daje możliwość zapoznania się z temi formami bytu, jakie były, z ich powstaniem, rozwojem i upadkiem, a przez to wskazuje i poucza zarówno o dodatnich, jak i ujemnych ich stronach, daje możliwość uniknięcia i niepowtarzania błędów starych.

Ma się rozumieć, zadaniom tym sprostać może tylko szkoła szczerze demokratyczna, pozbawiona wszelkich względów klasowych, oraz nauczyciele, odpowiednio przygotowani.

Uwagi te nasunęły mi niedawno przeczytane dialogi Platona: „Eutyfron”, „Obrona Sokratesa” i „Kojton”. Książka ta została pięknie spolszczona i starannie opracowana przez Władysława Witwickiego. Przedstawia ona w formie dialogów zatarg tragiczny pomiędzy jednostką wybitną, filozofem Sokratesem, a ciemną, choć pełnoprawną większością obywateli Aten.

Sokrates budził wśród swych rodaków krytycyzm w stosunku do nich samych. Biczował w swych pogadankach zarozumiałość, pychę, obłudę, niekonsekwencję, lenistwo myśli. A przez to zyskiwał wrogów we wszystkich wielkościach fałszywych, zarozumiałcach, pyszałkach, obskurantach, świętoszkach, których ściągał z piedestału, którym zdzierzał maski. Ludzie, bez względu na pozycję społeczną, bez względu na obozy i przekonania, nie lubią słuchać prawdy, zwłaszcza, jeżeli ta prawda pośrednio lub bezpośrednio w nich godzi. To też wystarczyło, aby trzech wrogów oskarżyło Sokratesa o nieuznawanie bogów oficjalnych i demoralizowanie młodzieży, a sąd demokratyczny, składający się z pięciuset wylosowanych obywateli, skazał większością głosów wielkiego filozofa na śmierć.

Większość demokratyczna — to tylko ilość, liczba; dopiero większość świadomych swych zadań i celów życiowych obywateli stać się może twórczą jakością.

31.

Stefan Żeromski zasila swemi artykułami organ najczarniejszej reakcji i najobrzydliwszej plutokracji, „Rzeczpospolitą”. Jest to niezmiernie charakterystyczne dla naszej ponadklasowej inteligencji. Prędzej

czy później taki luzem kroczący sobiepan nawrócić musi na podwórko reakcji. Zaprowadzi go tam albo galaretowatość wszechogarniająca intelektu, uczucia, albo nadwrażliwość urażonego naskórka, albo znużenie, czy animozja osobista, albo ambicja wygórowana. Czasy obecne są próbą ogniową ludzi i charakterów. Zaiste! Syndykalizm Żeromskiego jest dziwnego pokroju, jeśli da się ułożyć wespół z marcholizmem kapitalistycznym Nowaczyńskiego i biżantyńszczyzną rzymskim ks. Teodorowicza.

32.

Nic tak nie ilustruje nędzy, głupoty i małości ludzkiej, jak pobyt w zapadłej dziurze prowincjonalnej. Tam dopiero ludziska ukazują się sobie w całej krasie zoologicznej. To, co w skupiskach większych ginie i rozplywa się w tłum wielkomiejski, na prowincji uwypukla się we wszystkich szczegółach. Głupota bezdenna, próżność, pyszałkostwo, lenistwo myśli, a rozpasanie języka, złośliwość małpia i małpia lubieżność w masce pruderji, wreszcie obłuda

i blaga — oto kanwa, na której życie wyszywa szare typy jednostkowe i przez dodawanie zer mnoży je w nieskończoność. Wielkie wypadki dziejowe przepływają nad tem bagienkiem ludzkiem, nie poruszając gładkiej jego powierzchni.

33.

Wszelkie dyskusje i spory polityczne prowadzą najczęściej do tego, że zapaśnicy w zapale bojowym dochodzą do wywodów, nie mających wiele wspólnego z ich istotnymi przekonaniami. Sam proces dyskusji tak ich podnieca, że dobierają argumentów nie tyle przekonywających o słuszności założenia, ile mocnych, druzgoczących wroga i odśrodkowych. Nawet to, co oni sami uważają za białe, w ustach przeciwnika staje się czarnem. To też dla audytoryum dyskusje polityczne mają jeno znaczenie środka podniecającego i sprowadzają się do odpowiedzi na pytanie, czy nasz kogut, czy ich kogut, czy ten tur, czy tamten tur zwycięży.

Bronisław Siwik.

Z PRZESZŁOŚCI...

Jeszcze przed panowaniem Katarzyny II-giej, kiedy kozacy kończyli podbój Amuru, na Syberji żył pierwszy polski wygnaniec, Czernigowski, o losach jednak jego historia milczy. Skąd pochodził, za co zesłany—trudno zbadać. Bardziej wyraźnym typem polskiego powstańca jest Jerzy Krzyżanowski. To był okres, kiedy na Syberję wysyłano wielkich dygnitarzy państwowych i członków bojarskich domów, którzy dosyć często wracali z zesłania, aby kierować sprawami Księstwa Moskiewskiego. To znów na „osiedlenie“ został skazany dzwon; uprzednio wyszczerbiono go i wyrwano serce za to, że w niego bito na trwogę podczas zabójstwa w Uglichu carewiczka Dymitrja.

Ten dzwon do końca XIX wieku z odpowiednim napisem wisiał w Tobolsku.

Przechodząc z mroków XVII do XVIII wieku, Syberja po raz pierwszy zobaczyła większe partje wygnańców — Polaków — Konfederatów Barskich.

Podania ludowe przedstawiają tych pierwszych męczenników polskich z porozcinanemi uszami i nosami.

Po nich następują powstańcy Kościuszkowscy, po których przybyli powstańcy 1831 roku, a po nich długim, nieskończone długim łańcuchem poczęli napływać do Syberyjskich ostrogów — kazamat — i na osiedlenie powstańcy 1863-64 roku.

Według urzędowych danych, za udział w ostatniem powstaniu zesłano 18 tysięcy a według faktycznych danych, około 60 tysięcy.

Męczeńską drogę z Polski przez Rosję na Syberję powstańcy gęsto usłali krzyżami, na mogiłach tych, których śmierć wyrwała z objęć carskich siepaczy.

Dzisiaj jeszcze na drodze syberyjskiej zobażyć można nie jeden krzyż wrośnięty w ziemię.. Tam spoczywają kości męczenników Polskich.

Ani jednego cmentarza niema w olbrzymiej Syberji, na którymby nie spoczywali snem wiecz-



Kartka z własnoręcznym rysunkiem i wierszykiem powstańca.



Grupa uczestników powstania 1863 r. (Fot. robiona w Irkucku, w 50-letnią rocznicę powstania).

nym powstańcy. W pośród nielicznych dwuramiennych krzyży, stoją napół zgniłe, czy pochylone, polskie krzyże, które wyciągają błagalnie ku niebu ramiona, ku Polsce, do młodego, wolnego pokolenia, żądając zemsty za tyle łez, taką moc krwi polskiej przelanej.

Nieliczna garstka starych weteranów pozostała, kilkadziesiąt zaledwie dożyło tej wielkiej chwili—kiedy ich ideały stały się czynem—Zmartwychstania i Zjednoczenia Ziemi Polskich.

I zagrała w nich ostra buntownicza krew, i dziś oni żyją marzeniem prędkiego powrotu do ziemi ojczystej aby tu, w chwili potrzeby, wstąpić w szeregi wojska, ale do ułanów, bo stary wiarus — jak wielu mówi — może tylko na koniu się bić.



Schronisko dla powstańców w Irkucku.

Załączona fotografia—to grupa powstańców 1863 r. — zamieszkałych w okolicach Irkucka, a domek reprodukowany powyżej, to schronisko dla starych.

Kilku z nich już umarło i tak z tej grupy, jak z wielu innych, rozrzuconych po Syberji, codziennie śmierć nieubłagana zabiera coraz to nowe ofiary.

I nie wielu z nich zobaczy Kraj Ojczysty przed śmiercią...

Podobizna powstańca, odbywającego katorgę w Tobolskim ostrogu, z wierszykiem, umieszczonym na dole, znaleziona została w biblii, należącej do więziennej biblioteki...

Następnym etapem, po setkach procesów politycznych, jest ruch wolnościowy w Polsce w XX wieku.

Tajgi i tundry Syberyjskie zostały zapełnione więźniami stanu z Polski. Tak, jak w Polsce nie było ani jednej rodziny, któraby nie miała najdroższych



Katorga w Wologdzie.



Pogrzeb zesłańca politycznego na Syberji (1915 r.),

jej ludzi na syberji, tak w Syberji nie było ani jednej wioski, gdzieby nie było polskiego skazańca.

Gnani tam w lichej odzieży, czy kurtce katorżnika, przestępcy polityczni, nie mając w pierwszej chwili znikąd pomocy, podczas olbrzymich

mrozów szli na zarobki do tajgi, gdzie wielu z nich padało.

Jedna z fotografii przedstawia pogrzeb takiego nędzarza, który dla chleba wyruszył do tajgi, gdzie śmierć przy mrozie 45^o R. czyhała na ubra- nego w lichą odzież.

Katongi Syberyjskie, podczas niedawnej walki o wolność, były przepelnione, rząd carski otworzył w Centralnej Rosji setki katorżniczych więzień, które po brzegi były zapełnione skazańcami. Politycz- nych więźniów marynowano całymi latami w wilgo- tnych celach katorżniczych budynków, wybudowa- nych na lepkiej ziemi, gdzie setki chorowało na płu- ca, a prawie wszyscy cierpieli od reumatyzmu i skorbutu.

Zamieszczona tu fotografia przedstawia Wo- łogodzka katorgę—oddzielny korpus pojedynczych cel na parterze, I piętro—warsztat stolarski, obok są chodniki z desek, dalej kółko również z de- sek, to miejsce spaceru dziennego (każdy po 30 minut dziennie) dla więźniów.

Podobne chodniki spotyka się wokół innych więzień, gdzie są wieczne błota, tak, że gdy się zej- dzie z chodnika, to człowiek w tem błocie po kostki grzęźnie!

Jan Paluch — Skłodowski.

WZOROWA ORGANIZACJA.

Frysztat. Miasto ciche, spokojne i — co rzadko można zastosować do naszych miast — na wskroś polskie. — Ludność tego miasta to przedewszystkiem górnicy. Zorganizowani doskonale, zwarci wewnątrz, wywierają górnicy frysztaacy dominujący wpływ na bieg całego życia w mieście: — Rzekłbyś, że tu jakaś republika robotnicza. Stosunki panują nawskroś demokratyczne. Czy to w życiu domowym, czy w restauracji, czy na zebraniu publicznem nie spostrzega się rozdziału pomiędzy robotnikiem i inteligentem (burżuazji polskiej jest tu bardzo niewiele). Nawet kler pogodził się z tym faktem, że robotnicy i ich ideologia-socjalizm jest tutaj panującą. — Na pogrzebach nawet ksiądz odprowadza nieboszczyka z czerwonym sztandarem. — A przecież u nas księ- ża uważają, że to sprzeciwia się zasadom wiary! — Tutaj mieści się siedzisko Centralnego Związku Ro- botników Przemysłu Górniczego.

Jest to najpotężniejszy związek zawodowy w Polsce. — Liczy on 50.000 członków i obejmuje wszystkie ośrodki górnicze (zagłębia węglowe, nafto- we i saliny) prócz Górnego Śląska.

Wzorowa organizacja Zw. Rob. Przem. Górn. uwidoczniała się doskonale podczas ostatniego pięcio- godniowego strajku politycznego.

Na wezwanie centrali zamarło życie w kopal- niach. Około setki łamistrajków czeskich zgłosiło się tylko do pracy, ale po za nimi bez żadnego te- roru i przymusu przez cały czas ani jeden górnik do ro- boty nie stanął. Gdy zaś wyszedł apel do zli- kwidowania bezrobocia — robotnicy, jak jeden mąż, wszyscy stanęli przy swych warsztatach.

Organizację taką można było wytworzyć tylko przez długie lata podstawowej pracy. Dzisiaj orga-

nizacja ta rozszerzyła się na Kongresówkę i resztkę Galicji, wnosząc wszędzie ład i siłę w życie gór- ników polskich. O tem, jak jest postawiony Zwią- zek Rob. Przem. Górniczego, świadczy najlepiej fakt utworzenia przezeń Biura Socjalno — politycznego.

Zadaniem jego jest zbieranie materiałów (sta- tystycznych przedewszystkiem) dotyczących kwestji produkcji i pracy w górnictwie. — Kilkudziesięciu kontrolerów związkowych na każdej kopalni Zagłębia Karwińsko - Ostrowskiego — zbiera dane, które Biu-



Rynek Frysztacki,



Zarząd Główny Związku robotników przemysłu górniczego w Frysztacie 1919-20. 1) Prezes Ludwik Lizak. 2) kasjer Jan Pytlik. 3) sekretarz Jan Papuga, 4) sekretarz Ferdynand Goetze, 5) redaktor Arnold Kwietniowski, 6) zast. prezesa Alojzy Bonczek, 7) sekretarz Franciszek Czyż, 8) administrator Jan Kubowicz, 9) sekretarz Mieczysław Bobrowski, 10) Stanisław Małek. 11) Józef Strokosz, 12) poseł sejmowy Franciszek Rejdych, 13) sekretarz Stan. Nowakowski, 14) Stanisław Mićciorek, 15) Jakób Schwenk, 16) Ludwik Dębowski, 17) Franciszek Łukosz, 18) Józef Skurzyński.

ro Socjalno - Polityczne opracowuje naukowo i publikuje w swoim Biuletynie *).

Już trzeci Biuletyn wychodzi teraz z pod prasy, — dając wyczerpujący materiał, dotyczący życia górniczego na Śląsku. — Jak tylko wzmocnią się należycie i utrwala organizacje w pozostałych okręgach — Biuro natychmiast odpowiednio rozszerzy sieć swych pracowników.

Doświadczenie organizacyjne wyrobione na

Śląsku przenosi się, jak wspominałem, na inne dzielnice. — By przyspieszyć ten proces, Zarząd Główny Związku Górniczego przenosi swą siedzibę do Sosnowca, skąd będzie bliżej do wszystkich ośrodków górniczych.

*) Biuletyn Biura Socj. Pol. Zw. Rob. Przem. Górn. Redaktor Ludwik Lizak. Członkowie Redakcji Arnold Kwietniowski, Alojzy Bonczek, Mieczysław Bobrowski.

WIEŚ CHIŃSKA.

Fanza chińska jest ogromnie ciekawą budowlą. Z wyglądu przypomina naszą chatę wiejską, w szczegółach jednak różni się od niej bardzo. Fany zbudowane są z cegieł dużych rozmiarów, do wyrobu których służy tłusta ziemia, względnie glina, zmieszana z trawą, słomą i plewami. Cegły takie suszone są na słońcu, nie wypalane. Ściany fanzy od wewnątrz i od zewnątrz obrzucone są warstwą gliny, dzięki czemu nie znać w jaki sposób są budowane. Przed tem jednak, zanim powstaną ściany domu, chińczyk wznosi drewniany szkielet fanzy, a więc szereg słupów, powbijanych pionowo i umocnionych poprzecznie, a odpowiadających węglom domu, dziom i oknom. Jednocześnie również wznosi się belkowanie dachu, dopiero po tym zbudowane są ściany i dach zostaje przykryty słomą z gaolanu i pokryty warstwą gliny. Wewnątrz fanzy ściany są gładkie, najczęściej pokryte tapetą, zdobioną w kwiatki symboliczne, znaki i przedmioty o treści religijnej. Sufit rzadko kiedy spotykamy, miejsce jego

zastępuje ciemne sklepienie dachu. Zwykle dom dzieli się na dwie części mieszkalne. W jednej zamieszkuje kobiety i dzieci, w drugiej mężczyźni. W gospodarstwach zamożniejszych zbudowane są specjalne fanzy dla kobiet, do których wstępu mężczyźni nie mają.

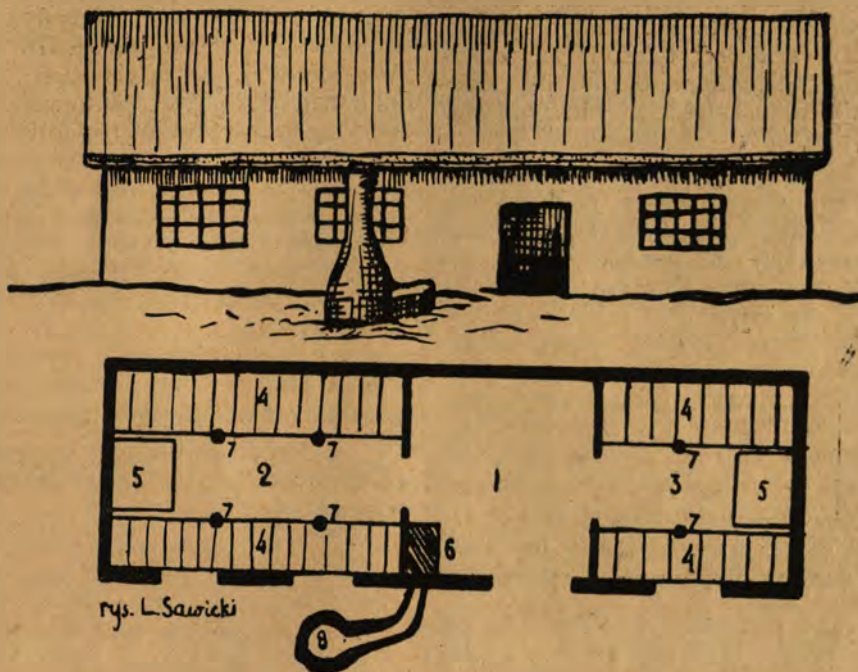
Wejście do fanzy prowadzi jakby do sieni, która służy, jako skład niezbędnych narzędzi gospodarskich, produktów a zarazem, jako kuchnia. Pieców specjalnych do ogrzewania domu w porze zimowej chińczycy nie znają, miejsce ich zastępują t. zw. k a n y. Wzdłuż ścian izb mieszkalnych zbudowane są z gliny wysokie podmurowania, wewnątrz których znajduje się kanał, połączony z kuchnią. Przez kanał ten przechodzi ogrzane powietrze wraz z dymem i ogrzewa K a n. Kan z wierzchu przykryty jest dużymi matami, plecionymi ze słomy gaolanowej, i na nim to siedzą, śpią i wogóle wykonywują wszelkie czynności domowe chińczycy. Sienników do spania nie używają, w porze zimowej okrywają się lekkimi kołdrami, zamiast poduszek używają wałków, nabitych trocinami, lub puszystymi nasionami pewnych

traw. Wałków zaś używają dlatego, ażeby nie psuć sobie warkoczów, które dziś jeszcze u nich są w wielkim poszanowaniu.

Dym z kuchni, po odbyciu wędrówki przez kanały kanów, wychodzi na zewnątrz przez specjalnie w tym celu zbudowany komin, znajdujący się na podwórzu. Dzięki takiemu urządzeniu, chaty chińskie w porze zimowej są chłodne.

Okna w domach chińskich różnią się bardzo od naszych. Są to dwie ramy ruchome, a więc dające się wstawiać i wystawiać. Ramy te składają się z licznych kratek i oklejone są grubym papierem, dość przezroczystym, który zastępuje szkło. O ile okno takie w porze letniej ma pewne zalety, to w zimie, jako zabezpieczenie od chłodu, nie ma prawie żadnego znaczenia.

kiego rodzaju zapasów. Stajni chińczycy nie znają, konie przebywają cały czas na dworze, przywiązane do żerdzi. Również na podwórzu mieszczą się wozy dwukołowe t. zw. arby. Fragment takiej arby przedstawia fotografia wnętrza zagrody we wsi I-di-obo, podana w poprzednim numerze „Światła“. Świnie ogromnie charakterystyczne, chude, na krótkich nogach, brzuchate, o długiej czarnej szczecinie, z wyglądu przypominające nasze dziki, również przebywają na dworze, względnie w zagrodach. Wyżej wspomniana fotografia przedstawia na pierwszym planie okaz świni chińskiej, która w naturze, nietylko dzięki swym kształtom, ale i szczególnej woni, którą z daleka nawet czuć, nie sprawia bynajmniej miłego na europejczyku wrażenia. Wielokrotnie widziałem pastuchów, pędzących mniejsze, lub większe stada ta-



Chata wiejska (fan-za) we wsi Pei-czen, oraz plan tej chaty. Nr. 1, sieni, a zarazem kuchnia i skład gospodarski; 2, Izba dla mężczyzn, 3, dla kobiet; 4, kany; 5, szafy malowane wyprawne; 6, kuchnia; 7, słupy podtrzymujące dach; 8, komin, połączony kanałem z paleniskiem w kuchni.

Pozostaje mi dorzucić słów kilka o wyglądzie wewnętrznym chaty chińskiej. Otóżwbrew powszechnie utartemu przeświadczeniu, nie widać tam brudów i niechlujstwa. Przeciwnie, ściany wylepione są tapetą, porozwieszane są na nich liczne fotografie znajomych i krewnych, rysunki święte i wycinanki noworoczne. Na pięknych szafach wyprawnych (które z wyglądu przypominają nasze komody) stoją filiżanki i naczynia ozdobne chińskie, oraz różne świecidełka. Na innych znowu sterty wałków ozdobnych — poduszki i t. p. Wszystko to nadaje przyjemny wygląd porządku i zewnętrznej czystości chaty. Rzecz prosta, że pościel i ubrania chińskie pod względem czystości wiele pozostawiają do życzenia. Zresztą, o tem dużo dałoby się powiedzieć.

Wypadnie jeszcze nam zapoznać się bliżej ze wsią chińską, z urządzeniem zagrody chińskiej pod względem gospodarczym.

Otóż, prócz fanzy jednej lub dwóch, zależnie od zamożności i liczebności rodziny, widzimy czasem budowle, przeznaczone wyłącznie na składy narzędzi gospodarskich, produktów rolniczych oraz wszel-

kich świń. Idzie ta zwarta masa, ryjami i obwisłemi uszami oraz sutkami dotykając ziemi; czarne, uwalane w błocie, spowite w tumanie kurzu, cuchnące. Jeśli na drodze trafiła się jaka kałuża, jakieś większe błoto, stado świń zwartemi szeregami, bez hałasu tonęło w niem, aż zapełniło ono swemi obrzydliwemi ciałami kałużę.

L. Sawicki.

(Dokończenie nastąpi).



WIEDZA O WSZYSTKIEM.

Wypadki nieszczęśliwe w przemyśle fabrycznym.

Człowiek współczesny nie zna wielu niebezpieczeństw i klęsk żywiołowych, które zagrażały ongiś życiu człowieka pierwotnego. Postęp i kultura ludzkości prowadziły i wciąż prowadzą człowieka do coraz to większego panowania nad naturą. Dziś dobrokiem społeczeństwa nowoczesnego są tysiące ulepszeń i wynalazków, co w niwecz obracają nieodwołalne dawniej katastrofy, które, jak dopust boży przyjmowali ludzie w poprzednich stuleciach. Dostyc porównać, ile to ludzi dawniej ginęło skutkiem chorób epidemicznych, pożarów, burz, powodzi, z ilością jaką dziś z tychże powodów umiera. I jakże inaczej wygląda nasze dzisiejsze życie od życia z przed stu laty. Pobudowano olbrzymie miljonowe miasta, pobudowano koleje, tramwaje, powstał wielki przemysł fabryczny, wynaleziono telegraf, telefon, samochody... Maszyna uczyniła dostępnymi dla wysiłku człowieka rzeczy dawniej nieosiągalne... Maszyna zwolniła człowieka z zależności od natury...

Lecz ileż nieszczęść przyniosła człowiekowi ta sama maszyna? Dała mu panowanie nad martwą przyrodą, ale zrodziła nowe niewolnictwo. Miljony niewolników nowoczesnych od wczesnych lat do śmierci, w kurzu i dymie, wśród hałasu niemilkających maszyn, pracują w fabrykach i zakładach przemysłowych. Miljony mężczyzn, kobiet i dzieci wpręgała maszyna do wielogodzinnej, niszczącej zdrowie, pracy, pozbawiając ich wolności i prawa do wypoczynku.

A iluż to robotników co roku umiera lub pozostaje kalekami od najprzeróżniejszych wypadków nieszczęśliwych, towarzyszących nieodłącznie pracy fabrycznej? Niczem są wobec tych nieszczęść liczby ginących dziś od klęsk żywiołowych, od epidemii, pożarów, burz, powodzi.

Dostyc przyjrzeć się statystyce śmiertelności od nieszczęśliwych wypadków, ułożonej według zawodów. Podług oficjalnych dat statystyki angielskiej na każde sto tysięcy osób, zatrudnionych w danym zawodzie, umiera rocznie wskutek wypadków nieszczęśliwych:

księży i osób duchownych	4
artystów	6
urzędników i handlowców	8
pracowników biurowych, szewców, ogrodników	9
robotników budowlanych	32
palaczy i maszynistów	36
kamieniarzy	43
pracowników kolejowych	49
górników	51
marynarzy	111

Liczby te wymownie świadczą o tem, jak wielkie niebezpieczeństwa grożą nieustannie życiu robotnika.

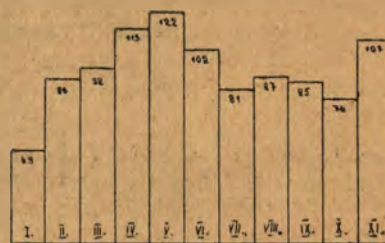
Chcąc zdać sobie sprawę z istoty wypadków nieszczęśliwych w przemyśle, należy przyjrzeć się odnośnej statystyce, grupującej wypadki nieszczęśliwe według przyczyn.



Widzimy w ten sposób, że na każde tysiąc wypadków nieszczęśliwych — 121 należy uważać, jako wynikłe z winy przedsiębiorców i 413, jako wynikłe z winy robotników. Do wypadków nieszczęśliwych, wynikłych z winy przedsiębiorców, zaliczono te, w których przyczyną nieszczęścia były: zły stan maszyn albo lokali fabrycznych, użycie nieodpowiednich surowców, niedostateczne oświetlenie, nieodpowiednie instrumenty, wydanie złych zarządzeń, niewystarczające zabezpieczenie przepisami ogrodzeniami ochronnymi pewnych części mechanizmów i t. p. Do wypadków nieszczęśliwych, wynikłych z winy robotników zaliczono te, przy których ucierpieli robotnicy, ujawniający niezręczność, brak uwagi lub przezorności, albo też ci, którzy omieszkali korzystać z istniejących urządzeń ochronnych, czy też wypełniać ustanowione przepisy.

Rozgraniczając wypadki nieszczęśliwe na mocy powyższych określeń, statystyka naliczyła z tysiąca śmiertelnych wypadków — 413 takich, w których winowajcami nieszczęścia byli robotnicy. Wystarczy jednakże zastanowić się nieco nad warunkami, w jakich zazwyczaj pracuje robotnik fabryczny, aby przyjść do przekonania, że znaczna część policzonych w tej kategorii nieszczęść naprawdę nie może być zaliczona do wypadków, wynikłych z winy robotnika. Ciąsnny lokal, skąpe światło, nieustanny ruch i niemilkący łoskot maszyn — wszak znane są nam wszystkim te nieodłączne warunki jego pracy. Najmniejsza nieuwaga, roztargnienie, wreszcie zmęczenie, stać się mogą natychmiast przyczyną nieszczęścia. Jak wielką rolę tu odgrywa zmęczenie, przekonamy się łatwo z następującego zestawienia:

Z każdego tysiąca wypadków nieszczęśliwych na poszczególne godziny pracy dziennej robotnika wypada*):



W wykresie powyższym słupki rozmaitej wysokości oznaczają liczby wypadków nieszczęśliwych, przypadające na poszczególne godziny pracy dziennej robotnika. Liczba wypadków nieszczęśliwych, w przeciągu pierwszej godziny (I) wynosząca 49, w przeciągu drugiej godziny (II) zwiększa się do 86, w przeciągu trzeciej (III) — do 92, — czwartej (IV) — do 113 i — piątej (V) — do 122; pomiędzy szóstą (VI) a dziesiątą (X) godziną liczba wypadków nieszczęśliwych zmniejsza się znacznie, a to dlatego, że: 1) na godziny te przypada przerwa obiadowa i 2) w niektórych zakładach kończy się dzień pracy; w przeciągu godziny jedenastej (XI) wielka liczba wypadków nieszczęśliwych — 107 — pozostaje w związku z tem, że wykonywane są w tym czasie zazwyczaj różne terminowe roboty, na akord, niezależnie od znużenia robotnika.

Wielką rolę zmęczenia wśród innych przyczyn, będących źródłem wypadków nieszczęśliwych w przemyśle fabrycznym, potwierdza również inne ich zestawienie, zrobione według dni tygodnia.

Z tysiąca wypadków nieszczęśliwych wypada na poszczególne dni tygodnia*):

poniedziałek	158
wtorek	157
środa	159
czwartek	160
piątek	162
sobota	168

Rozpatrując powyższe zestawienie, pominiemy narazie wypadki nieszczęśliwe, przypadające na poniedziałek.

Widzimy również, że poczynając od wtorku i środy, liczba ich jest najmniejszą (158 i 157), w następne dni liczba wypadków nieszczęśliwych powiększa się, osiągając w sobotę największą liczbę 168. Ma to dla nas znaczenie świadectwa, że w miarę coraz to większego co dziennie przed wypoczynkiem niedzielnym zmęczenia większą jest i liczba wypadków nieszczęśliwych, gdyż codziennie mniejsze się stają ostrożność i przeczność robotników podczas pracy.

Zastanowimy się teraz nad tem, zdać by się mogło niezrozumiałym zjawiskiem, że w poniedziałek liczba wypadków nieszczęśliwych jest większą niż w inne dni tygodnia. Wszak poniedziałkowa praca następuje bezpośrednio po niedzielnym wypoczynku, a więc liczba wypadków nieszczęśliwych dnia tego winna być najmniejszą? Tymczasem statystyka wykazuje w poniedziałek więcej wypadków, niż w sobotę. Sprzeczność pozorna tego zjawiska staje się dla nas zrozumiałą, o ile przyjmiemy pod uwagę, że na poniedziałek przypada czas wytrzeźwienia, po niedzielnych rozrywkach robotnika, zazwyczaj związanych z użyciem mniejszej lub większej ilości alkoholu. Dlatego w poniedziałek przeważnie robotnicy pracują, mając stępioną cokolwiek uwagę i przeczność. Tu za przyczynę wypadków nieszczęśliwych uważać należy pijaństwo. Lecz czy wynika stąd, że nawet w wypadkach, wynikłych z powodu pijaństwa należy uważać za winnych robotników? Nie będziemy się nad tem zastanawiać dłużej, gdyż należy to do zagadnień, związanych ze sprawą przyczyn społecznych alkoholizmu, gdyż, aby odpowiedzieć na to pytanie, należałoby przedewszystkiem znaleźć odpowiedź na to czyją jest wina, że wśród robotników alkoholizm jest powszechnym niemal zjawiskiem.

Gdy uprzytomnimy sobie całokształt życia robotnika fabrycznego, jego pozbawioną nadziei na lepsze jutro nędzną vegetację, gdy cały swój czas poświęca zdobyciu kawałka chleba dla siebie i rodziny, — to czyż będziemy mówili o winie robotnika, jako prawdziwej przyczynie wypadków nieszczęśliwych?

Być może wydarzy się czasem nieszczęście, spowodowane przez samego robotnika: jakaś psota nierozsądna, jakiś żart nierozsądny ze strony robotnika, który ucierpiał, lub którego z jego kolegów, bywają

czasem przyczyną nieszczęścia; lecz takich wypadków naliczamy jeden na tysiąc; nie więcej. Prawdziwem zaś, istotnem źródłem wszystkich nieszczęść i kalectw jest niewątpliwie to, co jest jedną z podstaw dotychczasowego ładu kapitalistycznego. A jest nią niewątpliwie prawda, że dziś w zakładach przemysłowych zdrowie i życie robotnika nie odgrywają żadnej roli, bowiem w ustroju kapitalistycznym jedynem celem, jedynem dążeniem każdego kapitalisty przedsiębiorcy jest i było zawsze jaknajmniej ponosić wydatków — jaknajwiększe osiągać zyski.

T. S.

KONSTYTUCYJNE ZEBRANIE T-WA WYDAWNICZEGO „ŚWIATŁO“.

Dnia 22 czerwca odbyło się pierwsze konstytucyjne zebranie udziałowców T-wa Wydawniczego „Światło“.

Tow. powstało pół roku temu, w celu rozpoczęcia wydawania dzieł artystyczno-literackich dla klasy robotniczej, w pierwszym rzędzie, tygodnika ilustrowanego.

500 udziałów zostało rozkupionych i pieniądze z tego otrzymane: 39.000 mk. oraz 40.000 pożyczki posłużyły za podstawę do rozpoczęcia wydawania tygodnika „Światło“. Zbyt to jednak szczupłe były fundusze, aby tygodnik mógł na nich się oprzeć „to też już po wydaniu 10 zeszytów, trzeba było zrzec się myśli o wydawaniu „Światła“ co tydzień i przekształcić je na dwutygodnik. Ale i teraz nie znikły troski finansowe. Ciągły wzrost kosztów wydawniczych (papieru i druku przedewszystkiem) — powodował obawę, że mimo bardzo dobrego przyjęcia „Światła“ przez czytelników — wydawnictwo może uleść zniszczeniu. Dopiero pomoc robotników polskich z Ameryki Północnej, którzy tytułem prenumeraty i udziałów przysłał 85.000 mk. postawiła pismo na trwałym gruncie.

Komitet Organizacyjny T-wa Wyd. „Światło“ nie zapomniał, mimo kłopotów z piśmem, o swoich zadaniach wydawniczych, i gdy można było bez szkody dla pisma oddzielić pewną ilość pieniędzy na wydawnictwa książek literacko-artystycznych, przystąpił do zapoczątkowania tej akcji wydaniem tomika poezji W. Budzyńskiego p. t. „Sny i Rzeczywistość (w druku).

W dalszym ciągu planuje się wydanie całego szeregu zbiórek literackich, albumów artystycznych, reprodukcji i t. d.

Zebranie, przyjmując do zatwierdzającej wiadomości sprawozdanie Komitetu Organizacyjnego w sprawach poruszanych w sprawozdaniu, przyjęło po dyskusji następujące uchwały:

I. W celu zwiększenia kapitału zakładowego T-wa, oraz ze względu na ogólne obniżenie wartości pieniądza i wzrost zarobków — podnieść udział do wysokości 200 mk. i wezwać członków do wpłacenia reszty należności w jaknajszybszym czasie (najpóźniej do 1 października).

II. Kapitał udziałowy określić sumą 15.000 mk. i upoważnić Zarząd T-wa do podniesienia tej cyfry do 25.000 mk.

W sprawie rozszerzenia T-wa i zjednania mu nowych członków, postanowiono zobowiązać wszystkich członków do akcji w tym kierunku.

Drugim zasadniczym punktem zebrania było obranie form legalizacji T-wa. Postanowiono zachować formę Spółki z ograniczoną odpowiedzialnością, upoważniając osobną Delegację do reprezentowania tej spółki wobec prawa. Do Delegacji wybrano A. Barykę, J. Dobrzyńskiego, K. Dłuskiego, St. Siedleckiego, J. Sochackiego, A. Struga, Szczukę, B. Ziemięckiego i Z. Zarembe.

W ręce tej delegacji złożono obowiązki dalszego prowadzenia T-wa i jego rozwijania.

*) według statystyki niemieckiej 1907 r.

Walka poetów o lepsze.

Redakcja mówionego miesięcznika „Światowit”. organu T-wa Miłośników Literatury, nie będąc zadowolona z jakościowego wyniku konkursu pierwszego, ogłasza drugi konkurs na utwór poetycki wielkości około 40 wierszy, pisany mową wiążaną.

Utwory winny być zaopatrzone godłem, nazwisko autora winno być w zapieczętowanej kopercie również zaopatrzone tymże godłem.

Z dziesięciu utworów, uznanych za najbardziej poetyckie przez zebranych na wieczorze T-wa Miłośników Literatury w dn. 14 września r. b., komitet, do którego zostali zaproszeni bardziej znani poeci, wybierze utwór najbardziej cenny i autorowi tego utworu przyzna tytuł „Laureata Światowita”, oraz nagrodę pieniężną w sumle 300 mk.

Utwory należy kierować pod adresem redakcji „Światowita” (Radosław Krajewski, ul. Bielańska 3, Warszawa).

DO PRENUMERATORÓW „ŚWIATŁA”.

Prosimy o przesyłanie pieniędzy tylko zapo-
mocą przekazów pocztowych lub czeków P. K. O.,
gdyż odbieranie pieniędzy w listach wartościowych
sprawia Administracji wiele trudności i utrudnia re-
gularną wysyłkę pisma.

W najbliższym czasie ukaże się z druku
zbiór poezji

WACŁAWA BUDZYŃSKIEGO

p. t.

„SNY I RZECZYWISTOŚĆ”

nakładem Tow. Wyd. „ŚWIATŁO”.

Jedynе w Polsce ilustrowane pismo socjalistyczne

„ŚWIATŁO”

poświęcone literaturze, sztuce, nauce i sprawom bieżącym. Wychodzi od lutego b. r.

Zeszytem 20-21 rozpoczynamy drugie półrocze (tom II) „Światła”.

W drugim półroczu „ŚWIATŁO” będzie nadal wychodziło co dwa tygodnie
w tym samym rozmiarze.

„ŚWIATŁO” jest pierwszą placówką szerzenia kultury duchowej w masach.

Każdy kulturalny robotnik winien zaprenumerować.

Każde kółko oświatowe, każda biblioteka i czytelnia winny sprowadzać
„ŚWIATŁO”.

Każdy winien popierać „ŚWIATŁO” i jednać mu przyjaciół i prenumeratorów.

WARUNKI PRENUMERATY, z przesyłką do domu: półrocze I-sze (od zesz. 1 do 1 lipca) — mk. 100,
półrocze II — mk. 120, kwartalnie — mk. 60.

W Administracji miesięcznie mk. 12. Konto czekowe P. K. O. № 798.

CENY OGŁOSZEŃ: za tekstem: Cała strona 2000 mk., — pół strony — 1000 mk., jedna czwarta strony 600 mk. — jedna
ósmą strony — 300 mk., — jedna szesnasta strony — 150 mk. W tekście: przed rubryką „Z wydawnictw” miejsce wiersza
nonparelowego — 15 mk.

ADRES: REDAKCJI POLNA № 66, MIESZK. 54; ADMINISTRACJI WSPÓLNA 17.

Redakcja otwarta codziennie od 5 — 6 wiecz. = Administracja czynna codziennie od 10—1 i od 3—6.

REDAKCJA: JAN HEMPEL, JAN REMBOWSKI, JERZY SOCHACKI, ANDRZEJ STRUG, ZYGMUNT ZAREMBA.

Redaktor i Wydawca: Z. ZAREMBA. Kierownik literacki ANDRZEJ STRUG. Kierownik art. JAN REMBOWSKI